Leszek Zieliński

SPALONA RZEKA

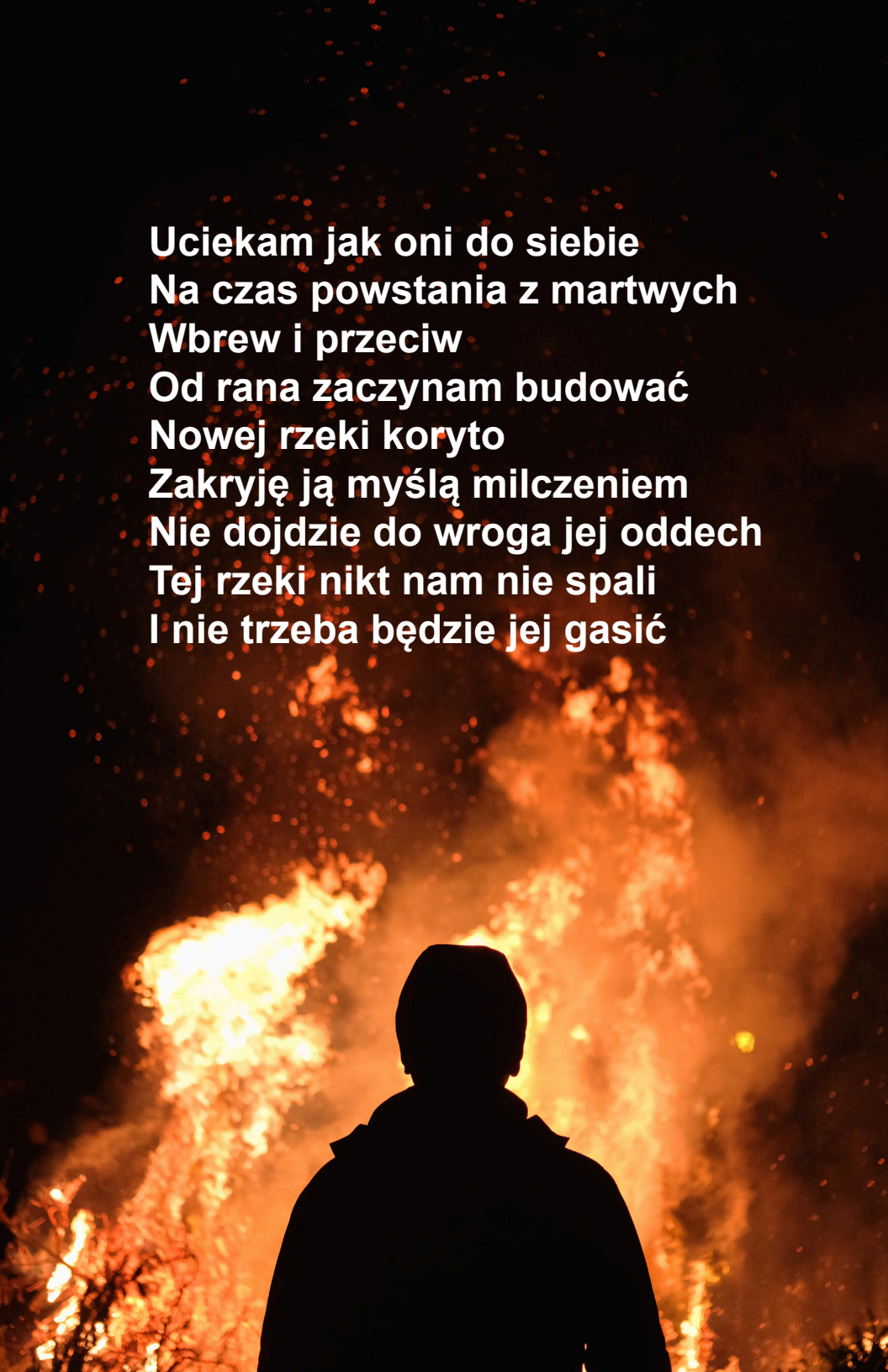
Uciekam jak oni do siebie
Na czas powstania z martwych
Wbrew i przeciw
Od rana zaczynam budować
Nowej rzeki koryto
Zakryję ją myślą milczeniem
Nie dojdzie do wroga jej oddech
Tej rzeki nikt nam nie spali
I nie trzeba będzie jej gasić

LESZEK ZIELIŃSKI

spalona rzeka

Wydanie trzecie

ARTEX PUBLISHING

Tegoż autora:

“Ogień i lęk”- A. Poray Book Publishing, New York, 1981
(Tom wyróżniony Nagrodą Literacką Towarzystwa Krzewienia Nadziei, Chicago, 1981.

“Dzień zraniony - A. Poray Book Publishing, New York 1982.
Nagroda Literacka Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Londyn, 1984

“Thunder”- A. Poray Book Publishing, New York, 1983. (j. ang.)

Copyright © 2023, Leszek Zieliński

„Wędrujemy tysiącami po obliczu ziemi, sławni lub nieznani, zarabiając za oceanem na rozgłos, na bogactwo lub tylko na suchy chleb; ale zdaje mi się, że dla każdego z nas powrót do kraju musi być jakby zdaniem rachunku.

Wracamy, aby stanąć wobec naszych zwierzchników, krewnych, przyjaciół – tych, którym jesteśmy posłuszni i tych, których kochamy, lecz nawet ludzie nie mający ani jednych ani drugich, zupełnie swobodni, samotni, pozbawieni wszelkich więzów i obowiązków – nawet ci, których nie oczekują kochane twarze i dobrze znane głosy – muszą się spotkać z duchem, przenikającym kraj, duchem, którego pełno pod niebem, w powietrzu, w dolinach i na pagórkach, na polach, w wodzie, w drzewach – z niemym przyjacielem, sędzią i natchnionym doradcą...

Każde źdźbło trawy ma swoje miejsce na ziemi, skąd czerpie życie i siły; i tak samo człowiek jest wrośnięty w kraj, z którego czerpie swą wiarę wespół z życiem".

Józef Conrad

spisane słowo

do białych krzyży bez imion
idę po kwiat twardszy od ziemi
a jesień coraz bardziej słona
tęskni moja ziemia – ze słów się podnosi...

spójrz Wisła się modli
z ognia się odradza
Starówką Mokotowem
do kraju z miłości
po wolność się zgłaszam
po testament powstańczy
ciemno i głucho dziś

słowa jak nienawiść milczą
staję z siebie jak wiersz
ja – zakazany człowiek
i odostrzam krwią spisane słowo

na wygnaniu

pękają chmury w niedoczekaniu
ja rozpływam się w rzekę
za chwilę będzie za późno
i gdybym wiedział na co

bez przekonania otwieram okna
wiatr się plącze u stóp
jak żebrak bez dnia
otwieram życie
bo tłum tłum mnie wystrasza

we wtorek jest tu nudno
jakby zamknięto kościoły
deszcz wciąż obojętny na wołanie
nie przerywa rytmu

jesień na wygnaniu –
to wyrok...

niedoczekanie

Boże –
potępionym aniołom
daj gwiazdę do snu
i do złudzeń
tym skrzydlatym pstrągom z niebios
daj legendę
daj niebo na świt

w małe dłonie nazbieraj zadraśnięć
ciepłem ognia i dymu
rzuć w oczy
bo skonać łatwiej na zawał
niż na niedoczekanie

pieśń

doczekamy się nieba
wszyscy rozproszeni
w godzinie cichych okien
przed ostatnim zawarciem
kurczowo zaciśniemy się w gniew
my
co jeszcze nadzieję przyszłym po nas szeregom
wplatamy wśród słów rzeczy zwykłych
wołamy że pieśń skruszy i mury i kraty
– tą chorągwią
w którą plamy krwi pokoleń wdeptano
trzepoczemy znak chwały

doczekamy się śmierci wszyscy oszukani
miejsca w rzędzie kamiennych posągów
wsączy nas czas wiary rozpłakany przy krzyżach
pacierz nas rozśpiewa – rozniesie
nie powalą nam wiatry ojczyzny
z nas się niebo rozpłynie rozstąpi
z krwi wchłoniętej do ziemi
łan wyrośnie jak ręce
co się w pięści gotowe zatrzasnąć

doczekamy się wszyscy powrotu

chwila okrutna

rzucam kamieniem w słowa
bat się zatrzymał nad moim grzbietem
oddaleniem
jeszcze się waha –
okrutna chwila

przekleństwem oskarżam
ludzkie sumienie
życiem wyzutym z litości
ja – rzecznik więzionych nadziei —
pytam o lęk i łzy
o twarz przestraszoną siostry
– uderzam rękojeścią słowa

jeszcze szept —
prośba starców
wypchniętych za drzwi wyczekanego życia
jeszcze strach wojenny
spłoszona świadomość bezbronnych
wierzących

jeszcze się waha –
okrutna chwila

taki cmentarz

mam taki cmentarz
gdzie dorasta powstańczy krzyż
utkany w pamięć

mam taki las
gdzie się drzewa zwieszają w smutek

mam taką ojczyznę
która czeka

mam taki sen
w którym bolesny brzmi śpiew
nad zaschłą plamą krwi

bierni piloci

paliła się rzeka białym szeptem
w dym zamieniał się dzień
do rąk przemawialiśmy niepotrzebnie

i jeszcze wpatrzeni w wodę
pomarszczoną od myśli
odpływaliśmy jak fale
w jeden zamyśleni brzeg

bierni piloci
wznosiliśmy się szaleństwem skrzydeł
by wybiegać słońcu
marzeniami naprzeciw
do matek przybranych w cienie świec
przegiętych od lęku wieczorów

paliła się rzeka
cynicznym jazgotem

do Itaki

ścieram się z siebie długością niedowierzań
Itaka
ta biel biało-czerwona jak rozdarta flaga

szedłem i idę i będę szedł
bliżej coraz bliżej do ciebie
nie odżegnując się od pokus
wtańczam się w wiatr
w żagiel wypinam i pruję ocean

ścieram się z siebie odjazdem
pożegnaniem
dotknięty jak świadomość

każdy z nas ma jeszcze drogę
do ojczyzny
bez względu na zawołania burz
mam Polskę w spaleniu jak serce
chociaż słońcu nie dowierzam
i nie dowierzam drzewom
– stąpam po drodze bez odwrotu
i ręce zakładam na oślepienie oczu

idzie do mnie Itaka
a ja ze zmęczenia się składam
i niosę jej krzyż

nadejdą dni jeszcze

nadejdą dni jeszcze
że twarze będziesz pamiętał
te odtworzone z uśmiechu
chociaż słowa pozostaną
pozostaną te same
jak kostium z tej samej sztuki
granej od kłamstwa do kłamstwa

będziesz zamieniał światło
rozbierał tęczę na części
będziesz szukał sumienia

przebudzenie będzie zadziwienia pełne
i nadejdzie czas na chwytanie dnia
jak to już kiedyś było

może dłużej nie zechcesz czekać
w smutnym oknie bez krajobrazu
za siebie zepchniesz Syzyfa głaz
i odwrócisz się w niepamięć

a może wtedy
gdy nadejdą dni jeszcze inne
znajome
usłyszysz rozmowy
czyny spisane wśród szeptu bruków
zanurzysz ręce w pamięć
i staniesz jak skarga

z dystansu czasu

z dystansu czasu który zbiegł
pędzi wiatru godzina
nagle świst nagle zgrzyt
sarna złotopszeniczna zatrzepotała śmierci rozbiciem

z dystansu czasu kolory dotyku
strzał w tęczę
kobiet pokątne przegięcia
w parku nad stawem w sklepach i w lustrze
nad wiatrakami z przeszłości

czytali wiersze
sklejone kartki krzyży i skarg
przepowiednie wieków
gdy pomnik nad miastem powiewał pamięcią
stali tą ciszą zapadłych listopadów
pod Barbakanem pod Stoczkiem na gruzach Warszawy
biali od przekleństw w skamieniałych pięściach

z dystansu czasu echa przeszłości
drżą i śpiewają hymn zaklęć
w czas śmierci

zapatrzeć się w wodę
słoną dłonią poszperać w kieszeni
za złotówką szczęścia
rzucić za siebie i zapomnieć lecz trwać
po latach uderzy znów dzwon
szklanym przypomnieniem
ze złudzeń jak moneta połknięta przez czas

w maju kwitły bzy i akacje
i Chopin kołysał się w parku
ostatnim przedśmiertnym spacerem

zastygła mi pamięć wtłoczona w balladę
stoi odbiciem w miedzianej fontannie
jak dystans czasu który zbiegł

lecieć nam trzeba

nie chodzą po nas echa
place puste jak słowa
rzucaliśmy się w ramiona nadziei
my – spłoszone jaskółki

niebo rozrywało nam serca
na kawałki szczęścia
po które wystawaliśmy w kolejkach

nie chodzą po nas porzucone marzenia
ślady na murach – zdeptana rzeczywistość
już tylko odwracać się od czasu
chociaż myśli jeszcze pełne zacięcia

skrzydła nam nie wiedną
nie zmieniają lotu
już coraz więcej oddechów
chociaż nie starcza powietrza
ale lecieć nam trzeba
chociażby tylko na chwilę

kontredans

kochała żagle – świerki we wrześniu
szyszki na ścianach i skupienie w modlitwie
pytała przyjdziesz –
miała serce i ręce pełne opowieści —
musiała pamiętać
ziemia drgnęła – zgasło słońce – odeszła

szedłem w sobie pamięcią
kieszenie od kamieni — gdzie ona
niebo w oczach się kładło
skracał się krzyk –
w tłum
umiała skraplać w bukiet jesień
przeszła w smudze barw

Mazowsze pachniało nokturnem
lipy i maki – jej piersi i ręce
lot słowika spłoszył nam myśli
lato tego roku pęczniało namiętnością
wstawała ziemia –
miłością i potem
marzyła się chwila —
jaśminem i różą

stała przed ołtarzem –
Chrystus kłaniał się w jej modlitwie
wiedziała jak zaprzeczyć słońcu
miała cieplejsze od nieba ręce
powiedziałem –
nie trzeba
bądź podobna do wieczności

zagniewały się wzgórza
uderzył w nas piorun
od wstydu umykały spojrzenia
targnął się wiatr na pokutę
nie szukaj –
bez końca są drogi
wyjdź naprzeciw słońca

oczy w nas przygasły
gdzie drogowskaz — nie wiem
idź naprzód posłuszna

ocean — umie czytać fale
więc już
wiesz

za późno – pamiętaj
za późno
na i przed
i po

palił się chrust – zbierała wspomnienia
palił się czas — gasiła żar palcami
ziemia bez śniegu – ona schowana za żal
znowu powtarza – czemu skreślam dni

ja cię wybiorę z roślin
nie wierzyła – czas płonął

sam
potrząsa cię ulica – neony – biedny ty
sam rzucasz się – odgryzasz rzeczywistość –
strzeż się
sam gdy wystygnie kawa — masz życie na zbyciu
sam trzeba wracać – bez brzegu – jakże tak

idź naprzód posłuszna
pamiętam – stała przed ołtarzem
Chrystus... powiedziałem – nie trzeba
bądź podobna do wieczności

wiatr

na płonącej drodze
krzyczy mi serce
w tej włóczędze

palą mi się ręce
ziemia pode mną jak w ogniu
ucieka

czasem tylko noc ciemna
w ramiona się wtuli i wsłucha
we mnie

tych milczących godzin mam tak wiele

patrzę teraz w oczy
które żegnały cię w Nowy Rok
nie łzą to i nie żalem
- rozstaniem

Matko
nie zdążę cię zobaczyć przed snem
u kolan twych się schylić
przebaczyć nie zdążę

te kwiaty które niosę dla ciebie
zwiędną

a jednak o tak niewiele się modlę
o krótką z tobą
rozmowę

weź ten wiatr
co niesie dla ciebie z drogi spalonej
moje serce
ten wiatr – to ja

przed zimą

w gałęziach się wiatr zaplątał
jak ja w twoich włosach
myśl za myślą się błąka
tak tu ciepło cieplej

jesień się wlecze polami
za oknem schną liście
rok odpływa latami
deszczem – łzą twarz moknie

miasta się kurczą wylękłe
zimnym spojrzeniem przechodniów
okna pękają od wspomnień
kurczą się ręce od ognia

bledsza się staje ciemność
zamknięte domy na zimę
odwieczna bajeczna przemienność
swą na nas zrzuca winę

z kamienia wierny

kamienne dłonie na wietrze

pali się niebo
bez serc
przeraża cisza

wieczory jak różaniec

kamienne oczy
pośród kamieni
pejzaż bez treści
martwe jeziora
— sny...

kamienne serca
bez powietrza

tli się
tli kalendarz
czas w części

martwa rzeźba

ach to nie moja krew

nie wiem jeszcze jak się w niej zgubić
wyszeptać się w słowa w zaklęcie –
nie wiem które drzwi zatrzasnąć
by się rozpaliła w światło

nie wiem jak się do ciebie uśmiechnąć
matko ziemio kochanko
jak nie wracać pamiętasz wiesz
nauczyłaś mnie ciągłej ucieczki

ach tam mnie woła tęsknota
w szelest ulic i dłoni

tu – przeklęły wspomnienia
ach to nie moja krew

było jeszcze po co wracać

było jeszcze po co wracać
gdy się słowa czepiały słów
żagiel wypinał się w wiatr
ręce tęskniły do rąk

było jeszcze po co wracać
gdy się wierzby kłaniały łzom
walizki u drzwi — bagaż z tylu lat
i już – i jeszcze jedno wahanie

i stało się – utknęło życie
jak wyrok – uderzeniem pięści
serce pękło i zmarło
i potępił nas żal

było jeszcze po co wracać
w te “jabłonie co miały zakwitnąć”
niech się pola rozłożą kłosami
i niech skruszy się w nas wołanie

było jeszcze po co wracać
na cmentarzu czekają piwonie
szklane modlą się oczy
i krzyże nas przyjmują w pamięć

tęcza

odwracam się od nieba
by nie stąpać po cieniach
ziemia swoim ciężarem
przygniata codzienność
jestem w tylu postaciach
śmiechem żalem tęsknotą

dzień za dniem mi umyka
a ja błądzę po nocach
ściany modlą się do mnie
w wielką głuchą samotność
ja nie patrzę
nie czekam

z czasu rzeźbię wspomnienia
zamazane jak tęcza
każda barwa odmienna
jednak bez niej nic nie mam
żal mnie drąży jak cierń
rozsypują złudzenia
coraz dalej do ciebie
w błędnym kręgu istnienia

przeczekanie burzy

tysiąc rozsypanych dróg
jak słów twoich ostatnia spowiedź
rzuca mi piasek w oczy
zdenerwowany wiatr
        jesteś znów portretem
        wymalowanym w słońcu
        ciszą przerwaną biciem dzwonu
        i rozkołysaniem echa
                sam na drodze problemów
                siedzę z rękoma w kieszeniach
                i nucę melodię przypomnień
                muzykę naszych rozmów

kto zapamięta te noce
niezapisane w marzeniach
kartki pożółkłych dni
niezdarte z kalendarza
        oparty jestem o wczorajszy dzień
        jak żagiel pochylony wiatrem
        łzy ściskam w dłoni jak ręce
        w dniu naszego pożegnania
                kocham cię żalem i boleścią
                teraz tym bardziej cię kocham
                im dalej uciekasz ode mnie
                i im dłuższa to będzie rozłąka

słońce wypala wspomnienia
rzuca w ramiona żar bólu
mam poparzone usta
od ostatnich pocałunków
        za tydzień za dwa za miesiąc
        będzie do siebie wciąż dalej
        jak przeczekamy tę burzę
        jak zatrzymamy tę miłość
                kocham cię żalem i boleścią
                teraz tym bardziej cię kocham
                im dalej uciekasz ode mnie
                i im dłuższa to będzie rozłąka

samobójca

samobójcy wystarczy błysk noża
perspektywa niepowodzeń
drabina w ostateczność
skala porażek i klęsk
wpisana w prozę strachu
zmierzch nie lęka się nocy
przed nim czarniejsza ciemność
nie powraca z wnętrz rzeki
kamień wtopiony w głębię
lotu kuli nie zmienia
nie za ciasna mu pętla

samobójca umiera tysiąc razy

jesień

wrześniowe palisz jesienie
mroczne zapatrzenia
nokturn cieni tęskny
marzenia znów schną
z pól wznoszą się dymy
rozpalonych kartoflisk
żurawie do lotu – a ty?...

w listopad się wtulasz
samotny jak wiatr
z czoła bladość odgarniasz
i wchodzisz w ciemność zimy
tak lata spisujesz z niemych kalendarzy
dalej się odwracasz od pojednań z przeszłością
zostajesz sam na sam
z własną wyobraźnią
zapalonych znów świec
gdy dogasa ci północ...

o umieraniu

niektórzy umierają po śmierci
czas się zamyka czarno-białą klepsydrą
cyfrą i krzyżem —
pamięcią rozdział
wpływów i uczestnictwa
klapnie jak okładka zamkniętej księgi
na półce w kurzu – w odłożeniu
celem nabrania wartości

niektórzy umierają za życia
w czwartki i piątki
najczęściej niepotrzebnie i nieoczekiwanie
ot ułamek przeznaczenia – mówią znajomi
jeszcze nie doszli do punktu wyznaczeń
a tu koniec...
i czarno-biała klepsydra z pożegnalnym ukłonem
rodziny przyjaciół kilku

są też tacy którzy najpierw umierają
a później nie umierają wcale
stoisz na przystanku życia
w ręku ściskasz pamięć tych co nie umarli
i powtarzają ci się twarze
tych którzy martwi żyją ciągle

nie każdy potrafi umrzeć i żyć dalej
i gdy tobie się to zdarzy
– wiem nie będzie czasu na zastanawianie
lub mnie –
najpierw będziemy w pierwszym rzędzie
tych co umierają tylko

kamienne witraże matki

nie wychodzisz na próg
z nocy tkasz obrus na mój stół
zapisujesz za zmarszczką zmarszczkę
twarzą jak pomnik

w kamiennych witrażach
szaleje twój dotyk
ach jak ciepło w twych oczach
patrz tak patrz
ach jak cicho
w twym krajobrazie
w kamiennych witrażach

skrzydła cię targną
ponad rzeczywistość
bezwiedna ty beztroska
płyń taka samotna
pośród obłoków

topielec

wśród sztormu padały drzewa
z rozszczepionymi rozpaczą konarami
jak samotny brzeg stałem bezwładnie
aż przejął mnie strach
i zacząłem biec w panicznej ucieczce
za mną zamykał się tunel jak noc ponury
wbiegłem po schodach na czwarte piętro życia
które miałem dopiero poznać
wiatr szamotał się u okien
wpijał się w szczeliny
świszcząc z jękiem
i nie wiedziałem czy to deszcz czy ocean
tak gorzko płacze
wkulony w zakątek duszy
patrzyłem jak świat wypada z ram
z pejzaży wylewają się jeziora
nad którymi czekałem na zmierzch
po łagodnej kąpieli –
a teraz szalały złowieszcze bałwany gniewu
od którego nie było ucieczki
woda zalewała pokój już do półek z książkami
sięgając fotografii dziewczyny o lnianych włosach
wchłonięta w przepaść
nakryła się falą – życie które trwało jak wspomnienie jedynie
już za późno było do drzwi
i za daleko na zewnątrz świata
wiedziałem że i oceaniczny zgrzyt
i wiatru kleszcze za chwilę
zamkną mój ostatni krzyk
nim oczy się domkną w plamę śmierci
skostnieje moje życie wśród zgrozy
rozstaną się ściany
oprócz tej przed którą stoje ja
nie będzie już nieba i ziemi
tylko pulchna masa miąższu
w którą zapadnie się świadomość
bez oporu
w ciemność
w ciemność
i czasu nie będę mógł uchwycić

śmierć dorożkarza

brał na chwilę uczucie z nieba bez próśb
a stało w nim dawniej tyle słońc
dorożkarz stary dorożkarz z pamięci
uliczkami sunął z bryczką
co wytoczyła mu twarz i życie
z przypadku z wyboru z konieczności
wódka za wódką przed rozstaniem
pamiętali go wszyscy mieszkańcy życia
kiedy w wieczory zaśnieżone
przetaczał końskimi kopytami sanie szczęścia
pełne miał dłonie miękkie jak serce
nikt nie pamiętał...

z korowodu za karawanem szli tylko...

skończył się ów mglisty wieczór bez dorożkarza
codzienność wciągała w niepamięć
coraz głębiej i głębiej
kto składał kwiaty na mogile zapomnień
kto sie z nim witał kto z nim odchodził...
gdy nie było już cieni wśród drzew
pozostały na zawsze sosen krzyże wysokie
tętent końskich zaprzęgów rozpisywał się w echo
dorożkarskim skinieniem
na zamkniętym przystanku

puste okno

niecierpliwi mnie ciemność
jak strach
chociaż czekam przy pustym oknie
pociętym twoim milczeniem
na wiatr czekam

drżą liście od rosy
czy może od łez
niecierpliwi mnie świt
bo ani burzy
ani nocy
ani ciebie
tylko wierne puste okno

posmak historii

kiedy słońcu się wyprzesz
wzniesiesz pięść w dłonie
spluniesz klątwą
w gniew przekształcisz śpiew
świadomość modlitw
wyrwie się na zewnątrz

powiesz – w błaznów ich ubrano
ze strachu grać im akt bytu
„życie w pętli”
każesz – wiatrem na skrzydłach ich gnać
złamać knebel –
zaprzeczyć

krew ma ten sam smak
dla tych co po śmierci
z wyboru jak dla tych co z przypadku
a dla nas ma już tylko posmak historii

wiem
kipi świadomość
domyka się cykl ostatni
łamią się słowa
za rogiem staje krzyk
zawracają nawet rzeki
w lot się teraz zerwać
trzepnąć skrzydłami

było niedaleko

było niedaleko do wioseł
czerwoną różą cię skusiłem
w twych oczach ręce zaplotłem i śpiewałem

do łodzi też nie dalej
szum mnie kołysał i fale
do powrotów było niedaleko
z których nie wracała twoja codzienność
a ja jeszcze o pojednaniu

podnosiłaś się w szeptach
w półtonach szelestów
ręce w myślach zamknięte
i spłoszone jak życie – cudze
tyle cię było w płomieniach
i we mnie

zdarłem cienie z pamięci
w której miłość chowałem
spaliłem i spłoszyłem ciebie
gdy pomyliłaś sny
czas odszedł z moją młodością
gdybym jeszcze mógł cię oczyścić
z listopadowych okien
lub zatrzymać cię na dłoni
to później mógłbym odejść
nawet z siebie
jak cisza co się gasi słowem

usychają rozstania
w obce chowasz się dłonie
ów rumieniec cię zdradził
chociaż moja jesteś – nie moja
gdy szeptałaś o niebie
Bóg się tobą zachwycał
byłaś taka urocza
w tobie bladło czekanie
chociaż kwiat cię pokochał
ptak się ulitował nad tobą
i z nim uciekłaś w niebo

nie zabraknie nadziei

nie zabraknie nam jedynie nadziei
nie dotkniesz realiów
z piramid się sypnie
piasek słów –
nomenklatura bytu
za cenę duszy
i gdy zatrzasną się drzwi

nie zabraknie nam jedynie nadziei
spojrzenia za siebie
za czas historii
biec by bez lęku
po kwiaty na grobach
uczyć się początków
wierzyć nie wierzyć
i dać sobie
szansę
wyboru bo
kiedy zatrzasną się drzwi

nie zabraknie nam jedynie nadziei
w roztargnieniu prawd
w sumieniu w miłości
kalkulowany świat zwycięstw
małych porażek
połączeń rozłączeń
i zawsze czas co odszedł
do rozliczeń na jutro
na rozważania dla wrażliwych

nie zabraknie nam jedynie nadziei
nigdy się nie zamknie
bariera między nami
na styku pokoleń
będzie się wrzeźbiała
symbolem i godłem
hymnem i narodem
a gdy zatrzasną się drzwi
nie zabraknie nam jedynie nadziei

gniew

niech mnie gniew targnie
niech burza w dłoniach błyśnie
a bez namysłu zaklnę się w słońce
i spłoszę gałęzie z drzew

rozniesie mnie wiatr
ponad ziemią rozkrzyczy
ja nie boję się śmierci słów
jeszcze się wzniosę ponad przekleństwo

niech mnie świat przywali
przytłucze jak płacz ścianę milczenia zachwieje
– odchodzę nie dowierzając chwili
którą kruszy gniew

znowu błyska...

nowy październik

przyszła –
drzwi skrzypnęły jak oskarżenie
tyle oczu miała na miłość
i tak wiele kochania
lniano-białe warkocze
rozwinęła w namiętność
przytulała do ciebie
noce długich pojednań

przyszła –
w twoje czekanie
w pustej ciszy pokoi
rozdźwięczała muzyką
wrzesień mijał spokojnie
znikającym był punktem
bezpowrotnie bez słów

wziąłeś
jej największe śpiewanie –
znakiem gestem modlitwą
szeptem wielkiej nadziei
zaznaczyłeś w niej czas
aby zostać jej wiecznie
jak jesienne wspomnienie

przyszła
chwilą tamtych nadziei
zakreśliła znak życia
rozpaliła się w tobie
wygaszonym pragnieniem
a gdy niebo spalało swój ostatni znak krzyża
ty znów w drogę przed siebie
zanikałeś jak wiatr
żal cię jednak nie wołał
nie płakały już słowa

dokąd teraz mój drogi
bez niej tęskno i smutno –
nowy witać październik

rejs

dogasa wieczór w cieniach słów
zapatrzona w ich ciepło
wznosisz cichy toast
bierzesz do ust mój uśmiech
 jakbyś chciała zatrzymać go na zawsze –
i długo milczysz

pokój powoli traci swą ciszę
w pamięci świec

nie o drzewach mi mówisz
oparta o maszt złudzeniem
spuszczasz oczy w niepewność –
wiatru się lękasz
a tak niedaleko już do przystani

żagiel się nagle zachwiał
przechylił w ciemność
horyzont znikł nam z oczu
ruszyliśmy w rejs dokoła marzeń
przyszło nam z nich tkać drogowskaz
nadzieje szarzały o świcie
nasza codzienność
zanurzała się w gorycz
krew niespokojna jak fale –
do myśli zbliżał się sztorm

na czas złudzeń

wychodził w drogę do nikąd
na skrzyżowaniu pamięci
przystawał
wychodził też z siebie
błąkał się w zapatrzeniach
nazwał ją motylem
a miała włosy jak zapach słońca
pokazywał jej życie chabrów
w niedogaszonych świecach trzymał za ręce
i snuł po wspomnieniach
stąpał coraz ciszej
po zapomnianych alejach
tak tworzył z niej
miłość
a gdy znalazł treść i dnia i nocy
delikatnie za słowo ją ujął
zapatrzył się raz jeszcze
w odległość i wyszedł w drogę
do nikąd
szedł przez raj chmurami
szedł do jutra
nad domem kołysała się samotność
a on szedł do nieba
stała smutna na niedzielnej mszy dziewczyna
z portretu pamięci
serce ukryła w modlitwie
i stała jak wyczekiwanie
na czas złudzeń

gdy

siostrze Krystynie

gdy już przejdę na drugą stronę
gdy podacie mi rękę
zamknę was
w uśmiechu
bez pytań
gdy już przedrę się do śpiewu
gdy stanę w rzędzie tonów
zaklaszczę w dłonie
aplauzem
i gdy spytacie mnie
jak było po przeciwnej stronie
zakołyszę wam
dęby i jabłonie
i gdy zostanę sam bez drzew
gdy zamkniecie przede mną dom
krzyknę wam
o powinności
gdy się stanę sam z siebie
po drugiej stronie zapytań

gdy już przejdę na drugą stronę
gdy przyjmiecie mnie przyjaźnie
zapytam was
tak z siebie o czas
gdy się odwróci w was duma
gdy się niebo nad wami rozjaśni
opowiem wam
już późną nocą
o tej podróży
po drugiej stronie
tylko o... zasłuchaniu
nie powiem

nie rozgrzebię

nie rozgrzebię ziemi –
więc mi nie mów że jestem ci winien pamięć
nie doceniam twojej krwi

mam cię mimo niechęci
czas cię zawieruszył a jednak powracasz
lepiej byłoby cię zatracić

gniew mój coraz ostrzejszy
a jeszcze nie pytam sumienia
– lepiej zapomnieć półszepty
i zepchnąć cię w niepamięć

byłeś jednak symbolem
czyjegoś życia fragmentem
dziś – już tylko zwątpieniem

nie rozgrzebię czasu cmentarzy
nie powrócę do ziemi-ojczyzny
spalę słońce i nadzieje
spalę i rzucę cię w zapomnienie

więc nie wracaj
nie wołaj
nie potrząsaj sumieniem
daj się zgasić bez żalu

poeta

poeta ma w sobie element noża
świat zamknięty w pokoju bez ścian
plącze się w chmurach
jak myśl odnaleziona
co tu skrzydłem a co Ikarem
woła jak głos
a tu gęsta cisza
i zamach na świadomość
zamyka go w pięść

gdzie to jezioro
ta rzeka
do brzegu daleko
więc się zagłębia w toń
i na wszystkie okna świata
rzuca krzyk
śpiewa mu pamięć
mieszają się słowa
aż się zapomni
na wieczność
on – błazen wyciosany
z kamienia

z przekonań

tacy są na ziemi przeklęci porywani impulsem
zrywem świtu i wiatrem
dróg szukają pod prąd
są naprzeciw logice
w księdze pojęć stopieni
emigranci z wszechświatów
z tułaczami co w sercach zaklinali przenośnie
wypisani za nawias
ci stojący w uboczu
w cieniach modlitw o cud

na chodnikach bez pęt
depczą ścieżki wyznaczeń
wierszem przekonaniem
stoją życie w kolejkach
ci co z wiarą odpłyną do nieba
na poręczach bez cieni
z kołysanką uczuleń oni poeci
z przekonań bez nirwany i krzyku

nic nie boli za drzwiami
głuchy krzyk narodowy
ci co z wiatrem za kołem
krótką formą wyrażeń
tu dla tłumu do kolan
ci na przekór zapomnień
a tam w kraju krąg szary
bez zrozumień bez chęci
nikt przed słońcem nie stanie
z zawieszoną chorągwią
oczu spalić nie spalą
ci poeci z przekonań

z tych rąk

z tych rąk nie wybierzesz milczenia
i nie rozgrzejesz go głosem
nie zaprószysz powietrza
gdy ciemnieją słowa

z tych dźwięków nie spłoszysz pieśni
życie zabarwisz
myśl cię uspokoi
jak rozkosz przed północą

z tych rzek nie zabraknie wody
światła nie przestraszy głos
czas się oprze pokusie
i z tych rąk nie zginie milczenie

już teraz wiem

już teraz wiem gdzie odchodzę
chusteczka na wietrze daleką jak tęcza
niedoścignione nadzieje
nie wybieram marzeń na jutro
jutro – zabraknie zapamiętania

już teraz wiem kiedy odlatują ptaki
i po co im tyle bagażu
z każdej wraca się drogi
każdą kończy włóczęgę

blady ślepiec ulicy podparty o życie
białą laską puka do świtu
idzie dalej w ciemność
w noc bez wskazówek

blady ślepiec nad ranem
bez godziny bez życia
nadziejami nas łudzi

już teraz wiem jak pachnie rumianek
lipcem cmentarzem i krzyżem
wiem gdzie dom w tęsknocie
gdzie pukanie do drzwi
słowa co brzmiały jak żart
już teraz wiem gdzie powrót

nasze oczekiwanie

świty porozrzucane na zewnątrz
cięte smugami aut

jest słońce które stanie na niebie
w nasze udręki zmagania i troski —
i w szczęście

iść trzeba po cieniach
z dnia na dzień
tam gdzie gorycz nie sięga

noc nie spóźnia się nigdy
na nasze oczekiwanie
i nie spóźnia się życie

zimny powiew drzwi

coż powiedzieć ścianom spękanym milczeniem
jak wesprzeć nieba nabrzmiałe chmury
gdzie się stopić jakim spłonąć piorunem
jak skryć się w tęczy jaką spalić się łuną

zimny powiew drzwi bez odwrotu
tylko połysk słów ostatnich zatrzymaj
w przelocie oczu

ponuro patrzą klony
czy dzień im za długi
czy czas na deszcz liści
zasuwam kotary
kurczą się godziny
wiatr się złości
wiem – jesienią odlecą żurawie
lecz jak daleko od wszystkich pożegnań –
czy to już

co oddać nocom pozostawionym na ciszę
gdy na skrzypienie świerszczy brak ciepła
co dośpiewać pieśniom
którym skończył się ton –
dograć monotonię czasu

krzyk

od wewnątrz dobiegał mnie głos
– spowiedź to czy wyznanie
patrzyłem za siebie
by z ciemności wybierać sylwetki
pochylonych nad czasem żołnierzy z batalionu historii

nie drgały im sumienia
krew była tańsza od łez matek
teraz grób wpisany w krajobraz
biało-czerwoną powiewa melodią

zatrzymaj się przechodniu
nad mogiłą wygasłą bez chwały
karabin skulony sztylet
błyszczy stalą
rozkaz panie majorze
po ścianach odbija się echo
był szlak po którym nie chodzą polegli

lecz ze mnie łamie się krzyk
jak wybuch granatów powstania
od wewnątrz rozdziera mnie ból
za tych co padli w drodze
i za tych którym cierniowe włożono korony
przechodniu – zatrzymaj ten krzyk

ballada o światłach

spętany w sobie latami
czasem bez ograniczeń
trwam w łąkach w pejzażach

stoję przed pacierzem
głową do kolan i czytam ocean
falom mewom

zdzieram z siebie śpiew
co toczył co trwał
spętany w dniach męką

wyrwać się nie mogę z łańcuchów
dzwonią dzwonią mi na przekór

ręce zanurzam w świadomość
tam pola zielone szumią kołyszą
ręce zanurzam w siebie łakomie
i na przekór bo wyrwać nie mogę czasu
co mnie burzył w latach
co mnie śpiewał na przekór
przez most i przez rzekę

w alejach pachniały serca
do szeptu do tańca
wtulał się zapis i trwa to we mnie
żyłem wśród was jak kłos

uciec nie można ani wtedy ani dziś
gdy wśród wierzb żyłem wśród was
na schodach do nieba na pustych
zdziwieniach rzeka pachniała tajemnie
w strychach na straty wieszałem romanse

żyłem wśród was jesienią
i cichym szmerem kroków
stałem wam w oczach jak blask i jak perła
żyłem wśród was przelotnie z nastaniem dnia
ocean mam w oczach słoną ogromnością

mam niebo ze szkła i z autostrad
śpiewam do siebie wspomnienia
gryzmoły istnienia a tam wśród ruin
kłania się wam moja tęsknota

dziś uciekam od siebie
uciekam od strachu
od wiatru do wiatru
na oknach zakładam kraty
stawiam barykady w płomieniach

uciekam od lęku od nieba
uciekam dziś uciekam od siebie

pola zielone z niedowierzań bez ram
łkają duchy w alkowach
mam w dłoni wino zwietrzałe
stają na przestrzał sumienia
woła przez palce czas
chować się trudno boli mnie cisza komnat

pękają ściany
pazur oddechów płoszy pytania
miga na świetle i w biegu
do jutra trzaśnięty krzyk

w biegu bez tchu umyka mi czas połączeń
ziemia rozkłada niebu niedowierzania
zakręca arterie bez drogowskazów
pomiędzy chmurami
z nas cienie woskowe
twarze w konturach na tle bez kontrastów
ziemia bez nas i niebo w pojednaniu ballada —
ballada o światłach

tyle ciepła

tyle było ciepła w drzewach
rzeka pachniała jak maj
mieliśmy tak mało do powiedzenia
gdy tuliły się w nas ramiona

czas się przemknął w naszych życiach
na uboczu stawały marzenia
trzeba się było tylko zmieniać
wraz z pejzażem

zabrakło wszystkiego – lecz nie miłości
jutro będzie jeszcze dalej do wczoraj
przygasną świece jak oczy na oknach
zapomni się pamięć rozmaże
po nas będzie się martwić tęsknota

gdy zerwie się czas

patrzą oczy nie widzą
za nimi świat się otwiera
kłania słowom ulica

ręce zagubione wśród rąk
i jeszcze odzywa się serce
nim usłyszysz – zgaśnie
a gdy z nas zerwie się czas
odejść trzeba nie patrząc za siebie
od siebie się tracić od siebie

adrianna

rozwiane podnosisz ręce
w niebo wpatrujesz oczy
ustom słowa darowane
rozrzucasz po kartkach czasu
nowe odkrywasz zdarzenia
w podróży dokoła tygodnia
za rękę matkę swą chwytasz
w ochronne uciekasz ramiona

jesteś z moich portretów
odbiciem promieniem słońca
tańcem radością i śpiewem
kształtem mojej miłości
stoisz daleka w zgubieniu
wpatrzona w milczenie matki
dokoła błądzisz spojrzeniem
pytasz o ojca-włóczęgę

daleko daleko od ciebie
od twoich zdziwionych oczu
daleko daleko od czasu
twojego pierwszego spotkania
na zakurzonej drodze
stoi z rozpaczą w sercu
wpatrzony w twoje odbicia
jak w drzazgi własnego sumienia

z rączek ucieka ci ufność
pierwszy bolesny smutek
w różańcu ciągłych pytań
kiedy do domu powróci

w dzień jesteś mi drogowskazem
światłem po ślepej tułaczce
wyciągasz ręce do nieba
pełne prośby i żalu
serduszko tętni rozpaczą
i oczy twe płaczą i płaczą
córeczko moja maleńka

spalona rzeka

uciekam z siebie w gorzką świadomość
jak bym pejzaż chciał zakryć wielką chmurą
unikam wczorajszych marzeń
odkładam czas
nie mogę stojąc na krawędzi nieba
nie słyszeć grzmotu burzy się oprzeć

strzały do mnie nie doszły z kraju
choć skurcz krztusił oddech
bolał krzyk warszawskich dziewczyn
i strach świdrował myśli

to tak jakbym nigdy nie odszedł
jakbym wśród ulic z farbą biegał
i kątem oka szukał „cienia”
jakby się ziemia i pode mną zapadła
z bibułą jakbym na punkcie czekał
i w górę wznosił palców solidarność
jakby ów gaz krztusił moje oczy
kiedy pobitą podnosiłbym Matkę –
nie moją – Naszą
jestem cząstką narodu tego co się zburzył
i wskrzesił – choć na chwilę tylko –
brzmienie fortepianu
i jakbym w ziemi zakopywał wiarę
by nie wpadła przypadkiem
by jej nie złapali

sztandar mój z nadzieją umierał
wskrzesiło go sumienie
zapalili nam rzekę
zbrukali brzeg
a tak było blisko do portu
krztuszą przekleństwa
pięść zwiera się w gniewie
nie nie kamieni nam trzeba
nie ciosu
nie wolno wykrwawić zbawienia
nasza wiosna jest z nami
w krzyży cichych modlitwach

podpalili nam życie raz jeszcze
tylko mosty grożą kikutami przęseł
swąd powróci gdy wiatr bieg swój zmieni
wznieci popłoch wśród zdrady

nie
nie trzeba nam zemsty
ni bicza
niech się rzeka dopali dogorze
nowe źródło wybije z nadziei

przeczekamy tę zimą
kilka lat znów upłynie
kiedy ręce oczyścić nam przyjdzie
nie zdławiono nam serc
krew w beton krzyży i ulic wpisana

(tak, splamili nam życie
przypadkowym rozkazem...)

Uciekam jak oni do siebie
Na czas powstania z martwych
Wbrew i przeciw
Od rana zaczynam budować nowej rzeki koryto
Zakryję ja myślą milczeniem
Nie dojdzie do wroga jej oddech
Tej rzeki nikt nam nie spali
I nie trzeba będzie jej gasić

SPIS WIERSZY

spisane słowo	7
na wygnaniu	8
niedoczekanie	9
pieśń	10
chwila okrutna	11
taki cmentarz	12
bierni piloci	13
do Itaki	14
nadejdą dni jeszcze	15
z dystansu czasu	16
lecieć nam trzeba	17
kontredans	18
wiatr	20
przed zimą	21
z kamienia wierny	22
ach to nie moja krew	23
było jeszcze po co wracać	24
tęcza	25
przeczekanie burzy	26
samobójca	27
jesień	28
o umieraniu	29
kamienne witraże matki	29
topielec	31
śmierć dorożkarza	32
puste okno	33
posmak historii	34
było niedaleko	35
nie zabraknie nadziei	36
gniew	37
nowy październik	38
rejs	39
na czas złudzeń	40
gdy	41

nie rozgrzebię 42
poeta 43
z przekonań 44
z tych rąk 45
już teraz wiem 46
nasze oczekiwanie 47
zimny powiew drzwi 48
krzyk 49
ballada o światłach 50
tyle ciepła 52
gdy zerwie się czas 53
adrianna 54
spalona rzeka 55